

SPOŁECZEŃSTWO

TYGODNIK NAUKOWO-LITERACKI, SPOŁECZNY I POLITYCZNY.

PRENUMERATA w Warszawie: z odnośnieniem do domu rocznie rb. 7 k. 60, Kwartalnie rb. 1 k. 90, Miesięcznie k. 65. Numer pojedynczy — kop. 15. **Z przesyłką pocztową:** Rocznie rb. 9, Kwart. rb. 2 k. 25. Za zmianę adresu k. 20.

„SPOŁECZEŃSTWO“ wychodzi co piątek

Adres Red. i Administracji Wielka 1-a m. 1.

OGŁOSZENIA po kop. 15 za wiersz petitu. **REKLAMY** po tekście kop. 30 za wiersz petitu. **NADEŚLANE** na 1 stronie przed tekstem po kop. 50 za wiersz.

Administracja otwarta od 10—2 i od 4—7, prócz świąt. W interesach redakcyjnych porozumiewać się można w soboty i wtorki od g. 2 — 3 po południu. Drobnych rękopisów nie zwraca się.

TREŚĆ NUMERU:

Epilog dziejowy, przez Henryka Lukreca.
Marzenia utopijne p. Edwarda Grabowskiego.
Ręce, przez Leona Choromańskiego.
Początki procesu uspołecznienia, p. Mieczysława Szerera.

Krytyka i sprawozdania, p. St. Kiedrzyńskiego.
Rozmowa z szatanem, p. J. M. Muszkowskiego.
Dodatek: J. Wł. Dawid. Inteligencja, Wola i Zdolność do pracy. (ark. 67 i 68).

Czas odnowić prenumeratę na kwartał III-ci.

Redakcja naszego pisma skazana została w drodze administracyjnej na zapłacenie 50 rb. grzywny za odezwę do społeczeństwa polskiego w sprawie szkolnej, umieszczoną w № 18.

Ażeby przyspieszyć ukończenie dodatku dawać będziemy, jak przy niniejszym numerze, arkusze podwójne.

EPILOG DZIEJOWY.

Izba petersburska dekretuje swobodę Finlandji. Lecz „swobodę posyłania deputowanych do zgromadzenia narodowego—w Moskwie” jak pisał niegdyś Snellman, znany pisarz finlandzki. Uchwalenie tej osobliwej wolności jest dalszym ciągiem imprezy dziejowej, której początek sięga daleko w przeszłość—do końca panowania Aleksandra I. Liczne i zmienne akty tej imprezy, rozgrywane się dawniej jedynie w gabinetach ministrów przy udziale generał-gubernatorów i członków komitetu pół-oficjalnego do spraw Wielkiego Księstwa,—ujawniały swoją rolę historyczną po fakcie, dokonany w szczupłym kole urzędników i doradców. Dziś zaś sceny końcowe, prowadzone z wyraźnym pośpiechem i poniekąd bez zwracania uwagi na audytorjum rosyjskie i europejskie,

mają utrwalić swoje znaczenie dziejowe za zgodą przedstawicieli narodu w murach rosyjskiej *chambre introuvable*. Dlatego żywa akcja znoszenia odrębności Wielkiego Księstwa wciąga w swoją sferę olbrzymie koła publiczności, które wraz z ludnością finlandzką odczuwają całą powagę sytuacji i wsłuchują się w każde słowo wyroku, padające z mównicy petersburskiej. Panujące stronnictwo „październikowców”, które niedługo uchwalić może nawet „zniesienie praw Izby”, wysunęło w sprawie finlandzkiej najgodniejszych swoich przedstawicieli, symbolizujących poprawność posłuszeństwa i „beziinteresownej” gorliwości. P. P. von Anrep i prof. Kapustin rozporządzają taką dozą konstytucjonalizmu, jaka potrzebna jest do zniesienia konstytucji finlandzkiej i przejęci są poczuciem obywatelskości w tym stopniu, jaki niezbędny jest do wkroczenia w sferę praw obywatelskich narodów podbitych. Ci obrońcy „zagubionego cyrkularza” wchodząc na mównicę parlamentarną stanęli na wysokości zadania p. p. Miasojedowa, Borodkina i Korewowa,—członków komisji mieszanej rosyjsko-finlandzkiej dla „określenia spraw wspólnych dla Finlandji i Cesarstwa.” Lecz zarówno członkom tej komisji, jak i urzędowym mówcom „październikowców” szło nie tyle o ustanowienie praw Wielkiego Księstwa, lub o godzenie sprzeczności między kraikiem północnym, rządzącym się na zasadach konstytucyjnych, i Rosją, istniejącą na podstawach autokratycznych,—ile o potrzeby narodowe i państwowe Cesarstwa, rozumiane w duchu Bobrikowa i Plehwego. Wskrzeszenie tradycji z okresu 1900 — 1904 r., pozornie zaprzepaszczonych w późniejszym okresie wolnościowym, miało się właśnie teraz odbyć w sposób jawny i legalny po rozchwianiu wszelkich złudzeń co do skłon-

ności unifikacyjnych społeczeństwa finlandzkiego i po zaprzeczeniu przez p. p. Miasojedowa i Sejna optymistycznym i błędnym przekonaniom Cesarza Aleksandra I, który niegdyś w mowie tronowej uroczyście uznał Finlandczyków za naród lojalny i odważny.

Akt, przygotowany przez komisję mieszaną i sankcjonowany obecnie przez większość Izby Państwowej, jest ostatnim aktem, znoszącym głębokie źródło wiekowych sprzeczności politycznych, powstających na gruncie zasadniczo odmiennych systemów rządzenia w Finlandji konstytucyjnej i Rosji absolutystycznej. Działanie tych sprzeczności usuwa się dziś drogą niweczenia odrębności samorządnej Wielkiego Księstwa i ustanowienia osobliwego równouprawnienia społeczeństwa finlandzkiego ze społeczeństwem rosyjskiem. W innych warunkach usunięcie tego źródła sprzeczności mogłoby się odbyć drogą przeobrażenia rdzennej Rosji na podstawach konstytucyjnych, ustanawiających równouprawnienie obywatelskie wszystkich społeczeństw, wchodzących w skład państwa rosyjskiego. Wówczas z pogwałcenia ustaw konstytucyjnych w prowincji wynikałoby niebezpieczeństwo dla instytucji nowoczesnych w Rosji właściwej. Dziś zaś dla państwa, rządzonego na zasadach autokratycznych, zniesienie odrębności Finlandji konstytucyjnej nie przedstawia istotnego niebezpieczeństwa, gdyż godzić nie może w strukturę konstytucyjną rdzennego społeczeństwa rosyjskiego. Struktura ta, będąc czysto formalną, istnieje niezależnie od faktycznego autokratyzmu państwowego i służy jako konieczny chwilowo pokrowiec, przesłaniający wewnętrzną pustkę konstytucyjną. Dlatego też wyjaśnienie posła Makłakowa, zwrócone do centrum podczas debaty finlandzkiej, jest słusznym, lecz czysto logicznym oderwanym wnioskiem, oświetlającym teoretyczne niebezpieczeństwo, płynące znikomo ze zniesienia konstytucji finlandzkiej dla konstytucji rosyjskiej.

„Jeżeli zgodzicie się na zniesienie § 2 ustaw zasadniczych, nie powinniście w takim razie dziwić się, jeżeli pewnego pięknego poranku, ten sam rząd przyjdzie i oznajmi wam, panowie, że § 86 ustawy, głoszącej, iż żadne prawo nie może być przeprowadzone bez zgody Rady Państwa i Dumy, zostaje zniesiony. Będziecie musieli się z tem zgodzić.” Istotnie, jeśli chodzi o konsekwencje, „październikowcy” w przyszłości znajdują się w obliczu faktu, kiedy logika rzeczy wymagać od nich będzie uznania i uchwalenia dekretu, znoszącego ich własne istnienie pod względem obywatelskim przewlekłe i pasorzytnicze. Lecz ta grupa polityczna, zrodzona w godzinie wolności, wyrosła w stanie chronicznego strachu przed nurtem istotnego liberalizmu i demokracji robotniczej jest zbyt maluczka, by przyjąć logikę dokonywanego faktu i zbyt zgnuśniała, by wyrzec się logiki siły, jako najwyższego obecnie dowodu przekonywającego. Zniesienie § 2 może teoretycznie pociągnąć w swych skutkach zniesienie § 86 ustawy, lecz wykreślenie tego ostatniego paragrafu przy dzisiejszym układzie sił odbyć się może równie dobrze nie jako logiczne następstwo przekreślenia paragrafu pierwszego, lecz sa-

morzutnie jako ruch, przywracający równowagę faktyczną między rzeczami pisanymi i niepisanymi. Równowagę, dotyczącą Wielkiego Księstwa ustanawia się obecnie w stolicy Cesarstwa przy udziale wyższych sfer społeczeństwa rosyjskiego.

Epilog dziejowy dramatu finlandzkiego, rozgrywającego się oto już przez przeciąg okrągłego stulecia za sprawą petersburskich mężów stanu, mających wiecznie jednakowe intencje, lecz działających w niejednakowych i zmiennych warunkach,—dokonany zostanie za chwil kilka. Przewlekła akcja, prowadzona w różnych epokach, w czasach srogiej kilkudziesięcioletniej reakcji, w mgławicowych okresach liberalizmu rządowego, w nowej, nieznannej Rosji erze wolności i w epoce ponownego upadku prądów nowoczesnych,—dobiega dziś kresu, po za którym ani Finlandja, ani jej przyjaciele w Rosji i Polsce, nie widzą nic prócz długiej ciemnej perspektywy, skierowanej w głąb nie dającej się przewidzieć przyszłości. W perspektywie tej można co najwyżej zoczyć wątle płomyki wspólnej nadziei, które jednak szybko znikają, jeśli spojrzymy wstecz na przestrzeń ubiegłego wieku, pełnego zarówno w Rosji, jak i w Księstwie Warszawskim, Królestwie Kongresowem i w Finlandji wszelakich rumowisk i pogrobowców. Dziś wobec nowego aktu zamykającego przy pomocy kilkunastu punktów nowego prawa przeszłość trzymiljonowego społeczeństwa i przenoszącego jego losy do rozstrzygnięcia hołdownikom cyrkularza konstytucyjnego—możemy stwierdzić jedynie upadek Finlandji i uznać go jako fakt nieunikniony, wynikający z całokształtu rzeczy.

Wobec nowego pogrobowca kultury możemy tylko ze czcią pochylić głowy.

Henryk Lukrec.

MARZENIA UTOPIJNE A MYŚL WSPÓŁCZESNA.

(Współczesność Karola Fourier'a).

(Notatka, dotycząca życia i dzieł Fourier'a: Karol Fourier ur. 1772, um. 1837; w czasie W. Rewolucji stracił majątek i zmuszony być pędzić życie jednostajne zarobkowe, w biedzie materialnej, graniczącej z nędzą; pracował w przedsiębiorstwach handlowych do których uczuwał żywy wstręt. Napisał: *Théorie des 4 mouvements*. 1808; *Traité de l'association domestique agricole*. 1822. *Le nouveau monde industriel et sociétaire*. 1829. *La fausse industrie*. 1835).

Wśród szeregu marzycieli, wysnuwających z myśli swych sny złote dla ludzkości o przyszłym, idealnym ustroju społecznym, gdy ziemia przestanie być chrześcijańskim padłem płaczu, a natomiast stanie się pogańskim przybytkiem szczęścia, rozkoszy, przedewszystkiem zaś radości życia, wyróżnia się w sposób dosyć wybitny postać Karola Fourier'a.

Różnica sprowadza się zasadniczo do tego, że gdy naogół marzyciele socjalistyczni reformowali świat, mając na względzie uczynienie zadość potrzebom najbardziej materialnym ludzi, gdy uważali, zresztą słuszenie, że dopiero po uczynieniu zadość naj-

pierwszym ludzkim potrzebom należy rozważyć sposoby zadawania wyższych potrzeb, większych wymagań, Fourier brał rzeczy głębiej.

Punktem wyjścia jego rozumowań nie były dobra materialne, których podział socjaliści pragną zreorganizować. Fourier patrzył prosto w duszę człowieka, badał ją i z niej wyprowadzał wnioski o potrzebach ludzkości.

Oczywiście, że, trzymając się tej metody, Fourier w dziedzinie ekonomicznej i politycznej dochodził do wyników nie wiele lub nawet często wcale nie różniących się od programów, wystawianych przez innych marzycieli społecznych. Z duszy bowiem ludzkiej, z jej pragnień łatwo i niewątpliwie dochodzi się do wniosku o potrzebie czynienia zadość najpierwszym potrzebom ludzi i staje się wobec trudnych i zawiąanych zagadnień, w jaki sposób potrzebom tym należy zadość uczynić można.

Ale Fourier z duszy ludzkiej wysnuwał wniosek, że ma ona inne jeszcze potrzeby, prócz potrzeb odżywiania się, mieszkania i odziewania się. I właśnie nad zadawaniem tych innych potrzeb Fourier się zastanawiał i snuł złote nitki swych marzeń przyszłości, przywdziewając je zresztą w szaty ścisłej naukowości, wydające się powierzchownemu obserwatorowi na pierwszy rzut oka wprost śmiesznymi.

Gdyby przeczucia Fourier'a o rozwoju społecznym, zwierzęcym, organicznym i materialnym były wyrażone nie jako wielkie odkrycia żadnej nie ulegające wątpliwości, poczynione przez autora, lecz, jako wolne myśli, skojarzone swobodnie, górną, szlachetnie i dosyć wszechstronnie, a przytem harmonijnie, wówczas wśród badaczy bezstronnych i patrzących w istotę potrzeb, pragnień i marzeń ludzkich nieznałoby się wielu takich, którzyby się z furjeryzmu wyśmiewali lub też nań oburzali.

Nie zamierzam przedstawić tu całokształtu teorii Fourier'a, ani też dać systematycznego wykładu pewnego działu jego utopijnych teorii. Chodzi mi o wyłuszczenie tych doniosłych jego myśli, w których rozwiązywane są zagadnienia wieczne dla ludzkości, zagadnienia, wypływające z najgłębszej istoty naszych pragnień i marzeń. Fourier, poruszając te zagadnienia, nietknięte przez współczesnych mu marzycieli społecznych, wykazał swą gienjalność; treść jego myśli pozostaje najzupełniej współczesną, pomimo ujęcia ich w śmieszny nieraz formę ścisłej naukowości; dla tego marzenia Fourier'a nie mogą być traktowane na równi z marzeniami oderwanymi od życia utopistów, z życia tego snujących swe programy. Fourier w programie swych reform nie opierał się na życiu, od którego był oderwany zupełnie tak samo, jak i inni marzyciele, lecz opierał się na właściwościach, potrzebach, świadomych i bezwiednych pragnieniach, przeczuciach i marzeniach duszy ludzkiej, z którą Fourier obcował bardzo ściśle. I dla tego właśnie w teoriach Fourier'a jest nie tylko coś, co posiada znaczenie historyczne, bo było jednym z kamieni, z których zbudowano naukę socjalistyczną, lecz jest w tych teoriach i coś, co jest nieśmiertelnem i wiecznie aktualnem bez względu na rolę dziejową, jaka danej teorii przypadła w udziale.

Zasadniczem u Fourier'a jest założenie, że natura ludzka jest piękna, że niema w niej brzydoty o ile warunki zewnętrzne natury tej nie paczą.

Fourier będzie tu blizkim współczesnemu pogaństwu. Chce „żyć mocno”, czuć mocno, myśleć mocno. I dla tego chce dać ujście dla wszelkich namiętności ludzkich. Tłumienie namiętności, walka z zachciankami—to chrześcijaństwo, to asceza. Fourier, jak apostołowie pogaństwa współczesnego, chce wyzyskać każdy popęd ludzki. Tkwi w każdym popędzie pewna

siła życiowa; jest on czemś, co żywo przeciwstawia się pojęciu nicości, śmierci, pustce. Popędy, marzenia, pragnienia, zachcianki, namiętności i potężne chcenia niechaj żyją i rozwijają się! Każdy zabity przez warunki popęd, każde stłumione marzenie, nie zrealizowane pragnienie, każda stłumiona namiętność—to strata społeczna, nieszczęście!

Życie jest piękne i radosne; a życie—to właśnie te marzenia i pragnienia. Kto im zadość nie uczyni z jakiegokolwiek powodów, jest samobójcą.

Żyjmy mocno, skoro żyjemy, albo nie żyjmy wcale! Twórzmy przeto organizację społeczną, w której ani jeden popęd ludzki nie będzie stłumiony, lecz—zadowolony wywoła radosne usposobienie; stwórzmy ustrój, gdzie marzenia będą rzeczywistością, gdzie nie będzie wstydu przed marzeniami, bo wstydzic się swych popędów i pragnień jest nierozumne; ich ilość i siła jest naszym ideałem, ich kult—zadaniem.

Ale, odpowie ktoś z obozu księży wszelkich wyznań, z obozu ludzi, szukających szczęścia w zaświatach, marzycieli o nieśmiertelności indywidualnej duszy, że to teoria rozpasania zmysłowego, że to powrót do dzikich bachanalji, nie krępowanych żadną moralnością, ani prawem.

Trudno polemizować z temi poglądami.

„Pisz krwią”, woła Nietzsche, „a przekonasz się, że krew jest duchem.”

(Schreibe mit Blut: und du wirst erfahren, dass Blut Geist ist).

(Zarathustra. Cz. I. Vom Lesen und Schreiben).

Nie tylko pisać krwią zalecają kulturalni poganie, lecz chcą żyć własną krwią serdeczną i w tem się przejawia ich monistyczny światopogląd.

Teoria Fourier'a, zarówno jak i poganie współcześni, kapłani Radości Życia, nie tworzą ustrojów społecznych dla ludzi w ich dzisiejszej fizycznej i t. zw. moralnej postaci.

Mowa o ludziach, których wyda ustrój, w którym nie będzie zagadnienia nędzy i sprzedanej miłości. Mowa o ludziach, takich, których szuka Nietzsche, wołając:

„Wer von Euch kann zugleich lachen und erhaben sein.

I mowa o tych, którzy stąpają po górach najwyższych i zatem śmieją się ze wszystkich smutnych wesołości i smutnych poważności. (Wer auf den höchsten Bergen steigt, der lacht über alle Trauer-Spiele und Trauer-Ernste.

(Zarathustra. Cz. I. Von Lesen und Schreiben, oraz motto do cz. III-ej).

A podniosły ten śmiech, ten śmiech, przechodzący do porządku nad wszelkimi sentymentalnymi wesołościami i poważnymi smutnościami, ten śmiech—życie musi być mocny, bo słabizna wyginie!

Jeżeli dzisiaj, w świecie nędzy materialnej i ucisku fizycznego, giną słabi fizycznie, jeśli dobór społeczno państwowy kładzie swe wybitne piętno na tych, którzy przy wegetacji dzisiejszej w walce o byt się ostają, to z zanikiem tej nędzy i ucisku dzisiejszego, dobór społeczny hodować będzie tylko tężyznę umysłową. Tylko ten kto mocno żyje, a zatem mocno się śmieje, będzie żył i śmiał się. Słabizna sama zaniknie, zamrze duchowo, jak dziś zamiera — — — —

Kto z Was może równocześnie śmiać się i być wnieśmionym fizycznie?

I na to słyszę już zarzuty współczesnych t. zw. „demokratów”. Słaby równy jest silnemu, cóż to za arystokratyczne marzenia Nietscheizmu?

Jeżeli arystokratyzm polega na kulcie silnego życia, snu o potędze i relizacji tego snu i podniosłych marzeń, to istotnie Nietzsche, a z nim razem i Fourier, dający obraz przyszłych stosunków wśród ludzi silnych i mocno się śmiejących, będą arystokratami.

Tej arystokracji jednak żywo się przeciwstawia arystokracja dzisiejsza, której kultem jest nie siła radości życiowej, lecz siła środków, będących wprawdzie w stanie radość tę stworzyć, będących jednak równocześnie w stanie radość zabić i stworzyć (co najczęściej się zdarza) „smutne wesołości i poważności”.

I nad temi przeto zarzutami „demokratycznymi” przechodzi się do porządku.

A ludzie oddający się tęsknocie wyzwoleniczej, ludzie, miłujący życie i ludzi, wraz z Fourierem dzisiaj marzą o ustroju, w którym ani jeden kwiat nie zwiędnie, nie dawszy rozkoszy, jaką dać jest w stanie, w którym ani jedno uczucie nie będzie zdeptane lub nienależycie zaspokojone, w którym popędy będą równoznaczne z czynami, pragnienia i marzenia z ich realizacją, namiętność—z rozkoszą.

I marzenia te Fourier'a—to marzenia wieczne. Bo łatwiej jest nasycić żołądek ludzki, aniżeli zadosyć uczynić nieskończonym w swej różnorodności i rozmiarach pragnieniom nienasyconych natur ludzkich.

(d. c. n.)

Edw. Grabowski.

LEON CHOROMAŃSKI.

R e c e.

Na wzniesieniu rozłożyło się miasto. Kiedy słońce zachodzi, czerwony ogień rozlewa się po tysiącach okien. Krzyże licznych kościołów błyszczą oślepiająco. Rozlegają się głosy dzwonów. Dzwonią na Anioł Pański. Modli się całe miasto starożytne. Szept modłów wylewa się z domów jak szmer strumieni. O cóż modli się miasto? Czy o to, by jego dawna sława zamartwychpowstała? W sarkofagach kościelnych śpią książki i rycerze. Na grobowcach widać wojowników w zbrojach i hełmach, z mieczem lub proporcem w ręku. Jaśnieją tam również blade twarze świętych niewiast i dziewic, które błagały niegdyś Niebiosą za walczących i poległych.

Miasto pamięta dawną chwałę. Jest jakby pogrążone w rozmyślnościach o niej. Po jego ulicach ciągnęły niegdyś orszaki królewskie, łopotąły chorągwie, bił w oczy przepych rumaków i rzędów, roła się i kipiała radośnie pstra rzesza. Dziś między brukiem trawa wypelza, w butwiejących parkach strzykają koniki polne, a słońce w głębi starych uliczek kona czerwono, płacze krwawo, rzęsiście.

Miasto przycichło. Ze stłumionym oddechem żyje współczesność na tym grobowcu zamartwych stuleci. Szarzy ludzie — jak wszędzie... Lecz tu się wydają mniej znaczni, ciżsi, skromniejsi. Na ulicach dużo mnichów i kobiet z różańcami. Dużo min skrzywionych, tępej obłudy, zjełczałych uśmiechów, spuszczonego oczu. Rozpusta tu chytrzej niż gdzieindziej pelza w cieniu i przez to staje się lubieżniejszą.

Cechą specjalną miasta jest obfitość starych rodów arystokratycznych, które tu wegetują niezadowolone z biegu historii, pełne uprzedzeń i niechęci, znużone próżniactwem, apatycznie znosząc brzemię prześlądzenia, że ziemia usuwa się z wolna z pod ich stóp...

Jedna z bogatych, arystokratycznych panien tego miasta chodziła często do kościoła świętej Weroniki. Szła zwinnym krokiem, wysmukła, młoda, piękna, przyciskając zlekka książkę nabożną do delikatnej piersi. Była niezmiernie wrażliwa i ciekawa. Jej nozdrza drżały. Tak chciała poznać życie! Spojrzenie jej tchnęło świeżością młodego lasu.

Widmo miłości unosiło się przed jej oczyma. Lecz kogo kochać? Przez kogo być kochaną? Panowie, których znała, pospolici byli i banalni. Zabawy nie zadawały, choć zdawała się na nich niezmiernie wesoła. Lubiła się modlić, lecz najzarliwsza modlitwa nie zaspakajała jej oczekiwaniami. Wracała jednak czas długi do ciemnych kościołów i złotych lamp, płonących przed obrazami w nadziei, że kiedyś spłynie na nią łaska i dar gorącej ekstazy.

Kiedy wyszła z arystokratycznego klasztoru ubrana ją w białą suknię, posadzono do karety i powieziono do kardynała. Był to piękny, dostojny starzec. Czerwona czapeczka przepyszenie harmonizowała z bujnymi srebrzystymi włosami. Rzekł jej:

— Moja córko, pamiętaj, że jesteś kobietą i chrześcianką. Obowiązkiem kobiety i chrześcianki jest uległość i pokora wobec woli Bożej.

Oczekiwała z bijącym sercem, że powie coś więcej, że powie coś uroczyście pięknego i podniosłego, lecz wspañiały starzec w pantoflach purpurowych oddalił się podtrzymywany przez młodego kłeryka, który obrzucił ją na odchodnym płomiennym wejrzeniem zachwyty. Nie, ten kapłan wysoki i czcigodny dość apatycznie spełnił swój obowiązek! Westchnęła, uczuła zawód i smutek. Odtąd gasnąc począł jej żar religijny.

Pociągnęły się dni bezprzemienne. Niekiedy bywała z rodzicami w teatrze lub na koncercie. Dużo czytała, grała, leżąc na kanapie patrzyła w ogród lub na obłoki. W jej świadomości osiadały pewne prawdy. Przedewszystkiem, że jej środowisko to wyspa na ogromnym morzu życia, wyspa dość jałowa i nudna pomimo olśniewającej białości gorsów, angielszczyzny i etykiety. Poza tą wyspą rozlewa się szerokie obce życie, łśni i kipi w wielkich miastach. Dążyła do miasta, do tego przekłętą, odepchniętą miasta, zarażającego się z wolna *nowinkami*, które w oczach jej sfery zasługiwało na wzgardę. Spoglądała ku niemu jak na obraz kuszący, rozpostarty na odległym *tamtym* brzegu.

Pewnego dnia odkryła, że jest piękna. Pokochała swą twarz, ręce, piersi. Zawinawszy rękaw, patrzyła nieraz długo, jak żyje jej śnieżne aksamitne ramię. Oczekiwała namiętności, ubóstwienia, miłości śmiertelnej. Czyż nie była godną niezwykłego uniesienia, wzgardzenia wszystkim, szafu! Lecz od kawalerów jej sfery, przesyconych rozpustą wśród aktorek i modnych nierządnic, nawykłych do złego smaku i zdrożności erotycznych, wiało chłodną poprawnością. Niczego nie można się było spodziewać od ludzi tego gatunku! Trzeba się było zwrócić do *miasta*, do tych ulic, które zuchwale otrząsały się ze staroświeckiej patyny. I do niej dochodził gwar boju o nowe życie. Ach, tylko stamtąd mógł wyniść bohater! Lecz bogactwo, uroda, herby, położenie społeczne ogradzały ją lepiej od kraty żelaznej. Pomyślała, że trzeba być zuchwałą, aby zwrócić na siebie oczy. Czują, że miłość jest bramą, przez którą przejść trzeba, aby zstąpić głębiej w życie. Musiała być kochaną, aby zacząć żyć *inaczej*.

Spostrzegłszy raz, że idzie za nią młody mężczyzna zeszła w boczną ulicę. Śnieg padał. Fruwały białe płatki. Szła mrużąc oczy. Oczekiwała, że zbliży się do niej, zaleje ją potokiem słów rozszalałych. Usłyszy raz wreszcie, że cudem jest piękność jej kwitnąca samotnie. Ach, gdyby uczuła jego ramię stałowe, gdyby ujrzała oko rozgorzałe potężnym pragnieniem, gdyby nieposkromione zuchwalstwo rzekło jej: Chodź! Nie myślała, coby nastąpiło. Chciała przeżyć tę chwilę. Chciała być znieważoną okrutnie, zmiażdżoną! Niechże raz pęknie obręcz konwenansul! Niech krzyknie na nią czerwony głos uniesienia! Lecz młodzieńca przeraziła jej postawa, pełna harmonji i dumy, jej twarz piękna, lecz jakby pogrążona w da-

lekich jutrzniach czystego marzenia. Nie ośmielił się przemówić do niej. Jego zachwyty spłonął w milczącej kontemplacji i podziwie. Słyszała za sobą jego kroki. Postukiwały bezradnie, aż umilkły. Innym razem wysunęła głowę z karety, rzucając przepysznymi oczyma zuchwałe wyzwanie innemu mężczyźnie. Przystanął jakby rażony światłem oślepiającym, pomyślał i poszedł w inną stronę.

Dość było dla niej tych dwu doświadczeń. Uczuła się zawiedziona. Przestała niemal wychodzić do miasta. Straciło dla niej urok. Dawało tylko spojrzenia nieśmiałe, czepiające się jej sukni jak drżące, bezsilne ręce. „Ach, niema już namiętności, niema odwagi!”—myślała z goryczą. Niemal wciąż leżała na kanapie, czytała romanse, wyobrażała sobie, że jest bohaterką miłości. Dojrzywał w niej grunt do rozwiązania. Żyła myślą jako żona wiarolomna, jako zdradliwa kochanka i rozpustnica. Czowała się w uściskach męskich, patrzyła na swój upadek, na zmierzch swej jasnej dziewiczej piękności. Gdy na ulicach zapalano gaz, myślała z drżeniem, że wychodzi jako nierządnica, że skrada się z podmalowanymi oczyma od domu do domu. Nachodziły ją te myśli jako sny obmierzłe. Tonęła w nich jakby *z braku uwagi*. Spozstrzegęła się, odpychała je z dumą i wstrętem, czuła się dotkniętą. Młode jej wargi drżały z oburzenia...

Mijały tak miesiące. Wreszcie zaczął się o nią ubiegać człowiek *z towarzystwa*, młody, ubrany bez zarzutu. Wyznał, że ją kocha.

Spojrzała w jego twarz spokojną, bladą, ładną, bez wyrazu. Rzekła:

— Dobrze. Lecz po ślubie zaraz wyjeżdżamy. Nie chcę tego miasta. Nudzi mnie. Innego chcę życia. Prócz tego: nie kocham pana i... nie będzie mi pan przeszkadzał?..

Mężczyzna ukłonił się w milczeniu.

Wysoka tylna ściana pałacu wychodziła na nieduży ogród — już poza obrębem siedziby arystokratycznej. W ścianie było kilka małych okienek, rozrzuconych niesymetrycznie, o szybkach mleczno-białych, okrągłych jak dna butelek. Obróciwszy się tyłem, pałac zezował jednak mętnymi oczyma w cudzy ogród. Tu i owdzie czepiały się ściany pędy dzikiego wina. Za niskim parkaniem połyskiwała i strumieniła się rzeka. Był to skraj miasta.

Tam, w tym ogrodzie śmiesznie małym i zachwaszczonym, gdzie wysoko bujały zielska, krówki boże pełzały po łopianach i pachniał jaśmin, marzył student wydziału filozoficznego. Był to jeden z tych niecierpliwych charakterów, których młodość upływa w głuchej tęsknocie. Skwapliwie odczytywał Kanta, upajał się pesymizmem Schopenhauera, a gdy mózg zmęczyła praca umysłowa, uczuwał nagle wybuch szalonego pragnienia. Pragnął miłości, szukał jej namiętnie, szukał jej wszędzie: w domach i na ulicy, w restauracjach i teatrze, wśród dziewcząt pracy codziennej i po wertepach rozpusty. Lecz nie miał szczęścia! Spotykał albo tępą jałową skromność albo rozwiązłość bezmyślną, której najtkliwsza pieśzcota nie może powołać do jaśniejszego życia. Złożył wizytę w kilku domach mieszczańskich, lecz uciekł stamtąd przed zmorą nudy i płaskiej cklowości. Wcale nie miał szczęścia! Pragnął znaleźć młodą dziewczynę o pięknem wejrzeniu i uśmiechu, której tajemnicze, napół niebiańskie życie oderwałoby go mogło od niewytłomaczonego szaleństwa smutku, gdy dzień się kończył, a świat wydawał się milczącą pustką. Rozglądał się naokół, lecz nigdzie nie było takiej...

To uczyniło go melancholikiem, marzycielem skłonnym do szaleństwa, gorzkim i osamotnionym. Nabrał obojętności, pewności, że zesłany jest na świat po to, by się tu męczył napróżno, by się za-

dręczał w tęsknocie. Gryzł sobie palce w bezsilnej wściekłości, czując się igraszką złośliwego przeznaczenia. Wieczorami do głębokiej nocy przesiadywał na parkanie, patrząc na połyskującą w poświacie księżycowej spokojną rzekę. Zdawało mu się, że ona wydarła się z obrębu tego więzienia, w którym czuł się zamkniętym. Płynęła zwycięska w dal głuchą. Kochał tę rzekę, tę cichą głęboką wodę... (d. n.)

POCZĄTKI PROCESU USPOŁECZNIENIA.

(Dokończenie)

Z drugiej strony słabszy czując, że jest potrzebny silniejszemu, stara się również za pomocą praw utrwalić swe korzyści, o których wyżej była mowa. Charakter tych praw jest nieco inny, niż praw silniejszego. Za temi stoi bowiem rzeczywista siła, zdolna wykonać świadczenie będące treścią prawa, gdy tymczasem prawa słabszego oznaczają raczej brak siły mogącej im zapobiedz — wchodzą one niejako w luki mocy silniejszego i upadają z chwilą, gdy zapełnią się te luki. W wypadkach gdy silniejszy przyznaje słabszemu prawa, choć jest dość potężny, by drwić sobie z jego uroszczeń — prawa przybierają jeszcze inny charakter: są naówczas, wedle słynnego wyrażenia Iheringa, „polityką mocy”, wspomnianym wabikiem własnego interesu¹⁾.

Co z tego dla procesu uspołecznienia jest najważniejsze, to to, że wzajemne stosunki nie tworzą bezkształtnej bryły, jak przy niewolnictwie z jego jednostronną regulacją całego stosunku, lecz że pomiędzy ludźmi biegną nici relacji zaczepione w różnych punktach osobowości obu podmiotów, że działalności ich obu różne i do pewnego stopnia od siebie niezależne splatają się mimo to w jedną całość. Współdziałanie jest jakby wysubtelnione w porównaniu z niewolnictwem, przy którym pan trzyma nogę na karku niewolnika; wzajemna zależność współdziałających posiada równowagę chwiejniejszą, a więc czulszą, bo jeden podmiot nie dominuje nad drugim bezwzględnie tak, iżby go zupełnie absorbował, lecz zachodzi między nimi wymiana usług, wskutek czego po obu stronach może zająć zachwianie równowagi: także i strona upośledzona może swem zachowaniem się, co do którego posiada pewną samodzielność, wpłynąć na rezultat współdziałania. Przez to wzmacnia się *społeczna* zależność, gdy przy niewolnictwie zawistość jest fizyczna. Nie wyklucza to, że akomodacja wynikająca z tego współdziałania może być bardzo bezwzględna, odpowiednio do wielkości przewagi strony silniejszej. Posiada ona tu jednak zdolność ewolucji ku coraz względniejszemu kształtowaniu się.

Powróćmy teraz od współdziałania wyzyskującego do równoprawnego. Była już o niem mowa na początku, ale tylko w odniesieniu do czasu panowania niewyrobionej jeszcze techniki produkcji. W tym czasie można je było scharakteryzować jako zesumowanie mniej więcej takich samych akcji. Ale rozwój sztuki wytwarzania wraz z towarzyszącym mu wzrostem ilości i jakości potrzeb działają rozsadzająco. Pierwotnie człowiek sam lub z pomocą towarzyszy zdobywa sobie wszystkie potrzebne mu i dostępne środki utrzymania, co najmniej zatem współuczestniczy w nabywaniu wszystkiego, czego mu potrzeba. Z czasem — gdy przeminą pierwsze wieki

¹⁾ Owo określenie Iheringa stosuje się do prawa w znaczeniu przedmiotowym (ob. Zweckim Recht, 1904. I, str. 294. i nast.), nie należy go przeto brać w ścisłym oryginalnym rozumieniu, gdy się je stosuje do praw podmiotowych, o których tu mowa.

terminu ludzkości, gdy postąpi kultura, ulepszą się narzędzia, wydoskonali umiejętność pracy—zyskiwane zaspokojenie potrzeb przestaje tworzyć blok jednolity, kruszy, rozpada się na specjalności. Ta specjalizacja nie sięga oczywiście z początku zbyt daleko, później wrzyna się coraz głębiej; zanim społeczność stanie się grupą oddzielnych figur, tworzy jak gdyby płaskorzeźbę, w której już zaznaczają się odrębne wypukłości, tło jednakże jest jeszcze jedną masą. Jednostki zindywidualizowane są tylko połowicznie, druga połowa wtopiona jest jeszcze we wspólny amorficzny zlepek. Otóż im bardziej różniczkują się zdolności, czyli im bardziej znika tło mechanicznie skuwające ludzi, tembardziej staje się jednostka społecznie zależna od współdziałania z towarzyszami. Napozór wydaje się, że w miarę przybywania człowiekowi zdolności powinna wzrastać jego możność wystarczenia sobie, a więc i niezależność. Rzeczywiście, o ile chodzi o dziecinną niejako zależność wynikającą z bezradności, to ta zanika, człowiek nabiera krzepkości, poczyna rozpierać się w świecie. Ale to jego usamodzielnianie się rośnie kosztem zawisłości społecznej. Oczywiście bowiem nie wszystkie zdolności rozwijają się równomiernie w każdym osobniku, lecz wytwarza się wśród ludzi podział zdolności i pracy. Dawniej jednostka nie mogła sama jedna zaspokajać swych potrzeb, bo walka o byt w pojedynkę przerastała jej siły; teraz nie umie zyskać wszystkich możliwych w danych warunkach zaspokojenia, bo wyrabiając w sobie zdolności i wprawę w jednych kierunkach zaniedbała je w innych, w których wcale nie potrafi pracować, albo tylko gorzej od innych towarzyszy. Jasne jest, że im bardziej jednostka wyskakuje ze wspólnego tła, t. j. dalej zaszła jej specjalizacja, tem więcej staje się zależna od współdziałania z równie lecz pod innym względem wyspecjalizowanymi jednostkami. To jest właśnie cechą zależności społecznej, która zbliża ludzi do współdziałania organicznego, nie będącego zliczeniem jednych przyczynków jednostkowych, ale zbiegiem odmiennych akcji wyrobionych każda w innym kierunku i składających wskutek tego najdoskonalszą w danych warunkach całość.

Z istoty współdziałania wyzyskującego wynikało, że zachodzi ono prymordjalnie pomiędzy dwoma tylko podmiotami. Natomiast przy kooperacji równoprawnej niema takiego ograniczenia—ilość podmiotów równa się ilości równych sobie członków grupy. Ale i współdziałania wyzyskującego niepodobna rozpatrywać tylko jako stosunku dwu jednostek, a to z powodów, o których napomknąłem mówiąc o niewolnictwie.

Solidarność interesów jest cementem łączącym tak silniejszych między sobą, jak i słabszych pomiędzy sobą. Dla rozwoju solidarności silniejszych nie brak nigdy gruntu ani warunków. Niema zawady, któraby grodziła drogę skupianiu się niezależnych koło wspólnego interesu, czymkolwiek on jest: koniecznością ochrony osobistej i łączności w zdobywaniu środków do życia, jak pierwotnie—czy potrzebą ochrony przywileju, jak później. Ale punkt ciężkości przesunięty jest w tym drugim wypadku. W pierwszym konieczność (ochrony osobistej i łączności) występuje z bezpośrednią siłą, niewidzialna pięść nieodpornie spycha ludzi pod koła, kto sprzeciwia się asocjacji—traci możność życia. W drugiej natomiast ewentualności (ochrona przywileju), gdy istnieją wyzyskiwani pracownicy, człowiek staje się co do środków egzystencji oraz bezpieczeństwa osobistego bardziej niezależny od równych mu współtowarzyszów; wskutek bowiem podniesionych kulturalnie warunków życia nie zagraża mu zagłada fizyczna tak często i z tyłu stron, co dawniej, wyzyskiwani dają mu te dobra gospodarcze, do gromadzenia których byli mu przedtem potrzebni współtowarzysze. Ich pomoc przenosi się obecnie na inną dziedzinę, nie o utrzymanie ży-

cia chodzi, lecz o zachowanie stanowiska społecznego; współtowarzysze gwarantują sobie wzajemnie korzyści wynikające z przywileju—oczywiście nie w specjalnej umowie, lecz przez gotowość dopomagania sobie w chronieniu tego przywileju. Nie samo życie, lecz jego sposób zależny jest od współdziałania z równymi, którzy pomoc swą ofiarowują oczywiście tylko w zamian za odpowiednie, t. j. potwierdzające wspólne interesa, zachowanie się współtowarzysza. Między zbliżonymi na tle tego rodzaju wzajemnej zależności powstają z czasem łączniki także i pod innymi względami—nie ekonomiczno-społecznymi, — wyrabiająca się bowiem indywidualizacja ułatwia powstawanie stosunków dotyczących różnych stron życia zróżniczkowanych jednostek; te zaś garnąc się do siebie wskutek zawisłości społecznej, zawiązują wzajemne relacje przede wszystkim między sobą. Niby wiązanie wspólnego stropu nad głowami, wznosi się nad niemi niebawem splot wzajemnych stosunków i oddziela je od reszty członków grupy, t. j.: wyzyskiwanych: powstaje klasa uprzywilejowana.

U niewolników oznaczyliśmy istnienie solidarności jako potencjonalne. Ich odcięcie od siebie, różnice charakterów wynikające z różności pochodzenia, wygaszenie ich osobowości, niedopuszczają z reguły, by wytworzyli pewną całość mogącą przeciwstawić się ogółowi panów. Ale gdy chodzi o podmioty wyzyskiwane, jednakowoż nie wepchnięte w klatki niewoli oddzielające ich od siebie, zazwyczaj też etnicznie jednolite, to tu istnieje możność wyrobienia się solidarności — i to w tem większej mierze, im mniejsza część ich osobowości służy podmiotom silniejszym, a im w większej posiadają możność stykania się ze sobą. Ta częściowa wolność stanowi furtkę, przez którą może wcisnąć się współdziałanie skierowane przeciw uprzywilejowanym dla odparcia ich zbytnich wymagań — ze swym zwykłym skutkiem, rozwijaniem się wzajemnej zależności. Chociażby nawet przewaga patronów nie dopuszczała do takiego współdziałania, to jednakże wyzyskiwani mogą wskutek pozostawionej sobie względnej swobody ruchów zorjentować się, że wspólna jest ich dola, poznać piętno wyciśnięte na osobowości każdego z nich: konieczność służby dla silniejszego. Jak u podmiotów silniejszych jedności położenia społecznego towarzyszyło wyrabianie się wzajemnych stosunków w innych także dziedzinach, tak samo — i z tym samym skutkiem — powstają one między podmiotami słabszemi, równanymi co do sytuacji społecznej, a niepozbawionemi całkowitej wolności, czyli możności zawiązywania stosunków między sobą. Tak samo powstaje tu całość — klasa, wśród której panuje jestostajność położenia, działań, myśli — krótko: interesów i przejawów życiowych.

Teraz staje się widoczne rozszerzone współdziałanie wyzyskujące, nie obejmujące już tylko dwu jednostek. Oto działalność klasy wyzyskiwanych wzięta jako całość składa się z działalnością — również wziętą jako całość — klasy podmiotów silniejszych na ogólne współdziałanie klasowe. Z kooperacji klasowej znów oczywiście powstaje akomodacja — już nie jednostkowa lecz klasowa, wzajemne uzależnianie się nie indywidualów lecz klas. Granice tego współdziałania i tej akomodacji są granicami społeczeństwa.

Nie kusilem się o danie wyczerpującego spisu czynników uspołeczniających, które działają w początkowych stadiach procesu socjalizacji. Wykraczałoby to za ramy niniejszego artykułu; zupełne wyszczególnienie wszystkich czynników nie jest zresztą wogóle możliwe. Chodziło o uwydatnienie — i to grubymi linjami — głównych podkładowych momentów ułatwiających zrozumienie, na czem polega i jak się rozwija zwieranie się ludzi w społeczność, a o unikanie try-

wialnych prawd w rodzaju, że zasobność terenu popiera uspołecznienie, umożliwiając gęstsze nagromadzenie się ludzi, wskutek czego np. w Grenlandji lub Ziemi Ognistej nigdy nie dojdzie do znacznego uspołecznienia. Nie ułożyłem tych momentów w szereg postępujący, którego każdy człon byłby rozwinięciem, wzbogaceniem poprzedniego. Wszakże niema jednolitego procesu rozwojowego ludzkości, istnieją tylko oddzielne procesy w poszczególnych grupach społecznych, w różnych zaś grupach występowały różne czynniki uspołeczniające. Tu pojawiały się te, owdzie tamte, jeszcze gdzieindziej jedne i drugie, stosownie do koincydencji wytwarzały między sobą wielorakie związki o różnej sile skuteczności — ponadto wszędzie kombinowały się z najrozmaitszymi dyslokowaniami warunkami materialnymi (charakterem kraju i ustrojem człowieka). Prawdą tylko jest, jak to wynika z natury rzeczy, że pierwotnie czynniki uspołeczniające występują w niewielkiej ilości i z małą siłą, później akumulują się, wzmacniają i układają w najrozmaitszy sposób, a stąd coraz mniej można ująć je w formułkę. Działają jednocześnie, z różnych stron przypuszczają szturm do uspołeczniającej się grupy, krzyżują się, wzrastają w siebie, z ich połączeń wynikają nowe czynniki stymulujące współdziałanie. Jedne sprawiają, że coraz więcej ludzi wstępuje w krąg współżycia i wikła się w sieć stosunków, których nici biegną pomiędzy współzyczącymi. Inne zacieśniają węzły tej sieci, wplatają nowe nici, zwiężają oka. Jedne pomnażają liczbę współdziałających, drugie skupiają współdziałanie. Dwa wielkie typy kooperacji — równoprawna i wyzyskująca — znów nawzajem oddziałują na siebie, zaczepiają się w całości różnego kształtu, wytwarzając różne formy zależności ludzi od siebie czyli akomodacji; akomodacja w dalszym ciągu ułatwiająca możliwość powstawania nowych stosunków toruje drogę pełniejszemu współdziałaniu i społecznemu uzależnieniu się współzyczących. Wytwarza się przedziwna mozaika stosunków, płatanie akcji i reakcji, bynajmniej jednak nie bezładny chaos, lecz całość okuta, niby żelazną obręczą, współdziałaniem ku stworzeniu danego stanu grupy współzyczących ludzi. Tak rozwija się proces uspołecznienia poprzez stopnie — rodzaje natężenia współdziałania społecznego, odbywającego się w danej epoce i w danej grupie wraz z odpowiadającą mu ścisłością wzajemnego uzależnienia członków grupy. *Mieczysław Szerer.*

KRYTYKA I SPRAWOZDANIA.

Michalina Domańska: *Historje prawdziwe*. Franciszek J. Galiński: *Kontrasty*. Nowości literackie tom XXXIV, Warszawa, 1910.

P. Gustaw Olechowski, który jest literackim kierownikiem tego tak dobrze zapowiadającego się wydawnictwa, wyrządził dość fatalną przysługę p. Domańskiej, przyjmując do druku jej historje. Są one wprawdzie prawdziwe, — lecz tylko dla tego, że wydarzenia, które opisuje autorka, istotnie miały miejsce w kraju łez, krzywdy i przemocy, o czem tak pięknie i tak niedawno napisał Reymont z „Ziemi Chełmskiej”.

Niezależnie od przygniatającej banalności formy literackiej, którą rozporządza p. Domańska, we wszystkich jej utworach dławiąca szarość wyobraźni i popolitość przeciętnego inteligenta pragnącego pisać za wszelką cenę uderza nieprzyjemnie i tem silniej, że druga część książki jest niezmiernie interesująca, a chwilami prosto piękna.

Są to nowele p. Fr. J. Galińskiego, którego znałem już jako poetę i przyznam się ze smutkiem,

nie byłem zachwycony. Jego „Wnętrze” (poezje wydane rok temu) ujawniające dużą kulturę i spokój człowieka zrównoważonego, pewnego swoich celów, są jednak zimne i często przypominały grawerowanie zegarmistrzów. W nowelkach zostały cenne zalety formy — i wiedzy, przepadł chłód i oschłość wymuszonego sarkazmu. Talent, w który czytający nowe nie śmie powątpiewać, daje nam utwory pełne pomysłowości, wyposażone w piękność chwilami bardzo niespodziewaną. Stwarza je dziwny, starannie-maskowany smutek autora, boleśnie uśmiechniętego wobec nędzy współczesnego człowieka, którego niemoc rzucała w ryzstok popolitości. Zwłaszcza niepopolocie wyczuła jest sytuacja odwiedziny pewnego profesora u jakiegoś władcy w „Bajce” i „Zdarzeniu familijnym.” P. Galiński dowiódł, że umie pisać prozą, że pisze doskonale i że wymawia sobie łączenie swoich utworów z takimi produktami spleenu światowego jak „Historje prawdziwe”. Prawdopodobnie wydawcy wszystko jedno, gdyż chodzi mu jedynie o interes pieniężny, ale pan Olechowski powinien pamiętać o tem, że podpisując wydawnictwo jako kierownik literacki, przyjmuje na siebie odpowiedzialność, za wszystkie barbarzyństwa, jakie się w tym wydawnictwie ukażą.

St. Kiedrzyński.

ROZMOWA Z SZATANEM.

Pewnego wieczora siedziałem sam w swoim pokoju i myślałem o rzeczach niezmiernie wesołych. Jako jedyna konkluzja z tych rozpamiętywań wyrwało mi się nader głośne a dobitne:

— Żeby już raz do cholery umrzeć!

— Cha, cha, cha... — usłyszałem za sobą.

— A co tam za licha?!

— To ja! że pan też zaraz wymyśla...

Obejrzałem się. Stał tam, w kącie pokoju... ot, poprostu stał szatan. I śmiał się...

— Czego się śmiesz?

— Tak sobie! wesoło mi...

— Czego tu chcesz?

— Nic ważnego. Ot, zaszedłem na chwilę.

— Siadał może papierosa?

— Dziękuję. I owszem.

Zapalił papierosa. Przez chwilę siedział spokojnie, ale widziałem, że powstrzymuje ciągle kurcz śmiechu, który go dławił.

— Cha, cha, cha, cha... — zahuczało wreszcie w kluczu basowym.

— Cóż tam znowu?

— E nic... tylko... oni wszyscy chcieliby też papierosa.

— Co za oni?

— Moi towarzysze.

— Skąd się ci znowu wzięli?

— O, nas tu jest dużo!

— Czego wy odemnie chcecie? do wszystkich djabłów!...

Mój gość sklonił uprzejmie głowę, jakby dziękując za komplement, i znowu zaśmiał się wesoło.

— Przecie pan jest nasz!

— Jakto? zapytałem, bardzo zainteresowany.

— Ma pan dług?

— Pytanie!

— Ma pan przyjaciół?

— Masami!

— Kochał się pan kiedy?

— Zdarzało się...

— Czem się pan zajmuje?

— Sztuką.

- No, widzi pan?
 — Cóż mam wiedzieć?
 — Że pan do nas należy.
 — Także koncept! — rzekłem i odwróciłem się z niechęcią.

Szatan, myśląc, że nie patrzę, ściągnął połowę papierosów z pudełka, i znowu zabrzmiał jego swobodny śmiech.

- Pan nie wierzy?
 Nie doczekawszy się odpowiedzi, mówił dalej:
 — Mieć długi znaczy nie mieć pieniędzy. Mieć przyjaciół znaczy nie mieć przyjaciela—to już jest dwu szatanów. Miłość i sztuka... ho, ho, hol... sam Lucyfer i jego kuzynek Belzebub zajmują się niemi.

— To dopiero czterech—a tam widzę całe mnóstwo tych panów—wskazałem na drzwi od sypialni, przez które wyglądały kędzierzawe głowy.

— Bo ja tylko dla przykładu wybrałem najważniejszych.—Oprócz tych są inni jeszcze: pan chce być sławnym, pan się interesuje polityką, pan ma obowiązki itd., itd.

— Czy mogę prosić o parę informacji? zapytałem po chwili.

- Służę panu.
 — Czego szatan najbardziej pożąda?
 — Głupstwa.
 — Dlaczego?
 — Bo jest dla niego niedostępne.
 — Nie rozumiem.

— My do głupców nie mamy przystępu: za co ich chwycić?

— Jakto za co? Za grzechy!

— Grzech głupca jest jego cnotą. Zresztą, co to znaczy „grzech”? Zerwaliśmy już dawno z tą przestarzałą terminologią.

- A za co chwytacie waszych ludzi?
 — Za pożądaną—odparł szatan wesoło i zatarł ręce.—My pana nie opuścimy nigdy. Pan już nie może przestać chcieć.

— I nie chcę przestać!.. rzekłem stanowczo.

W tej chwili usłyszałem idące zdaleka tony cake-walk'a. Wszyscy szatani z wesołym śmiechem ujęli się za ręce i otoczyli mnie kołem tanecznym, nucąc i przytupując ochoczo.

— No, dobrze, chłopcy — krzyknąłem — jestem wasz, ale co mi za to dacie?

Tempo tańca stawało się coraz szybsze. Szatani wyli pijanym śmiechem rozkoszy. Pokój mój rozszerzał się, rozdalał, aż stał się olbrzymią salą, oświetloną potokami światła i urządzoną ze wschodnim przepychem. Wkoło mnie tańczyły setki par. Kobiety niewidzianej piękności opierały się w tańcu bachicznym na ramionach wyniosłych, harmonijnie zbudowanych mężczyzn o wysokich czołach i ciemnych, głębokich oczach. Zapanowywał słodki nastrój niewypowiedzianych uczuć, niezaspokojonych a silnych namiętności. Ciała kobiet śpiewały precudną pieśń obietnic, a spojrzenia mężczyzn mówiły o nowych, niezdołanych jeszcze krainach myśli.

Zapatrzony, zasłuchany zapomniałem o moim pytaniu... Aż po chwili uszu moich dobiegł szmer—korowód znajomych a nowych tonów. Płynęły one w szepcie tłumy, w szeleście wiotkich materji, w dźwięku skocznej muzyki—wszystko było pełne tego nieopisanego głosu. Rósł, potężniał i wreszcie zabrzmiał pełną siłą ostatniego akordu, ginącego w przestrzeni:

— Mękę, mękę, mękę!..

J. M. Muszkowski.

— Proszeni jesteśmy o umieszczenie listu ponizszego:

Zarząd Główny Stowarzyszenia Młodzieży Polskiej „Bratnia Pomoc w Belgji“ podaje do wiadomości osób zainteresowanych, że wzorem lat ubiegłych udziela wszelkich informacji dotyczących wyższych studjów naukowych we wszystkich uczelniach i uniwersytetach w Belgji. Listy wraz z opłatą w wysokości 2 fr.—2 koron—2 marek—80 kop. zwracać prosimy do istniejącego przy Stowarzyszeniu „Biura Informacyjnego“ pod adresem: Liège, (Belgique) rue des Remparts 5, M-r A. Czaplicki.

Za sekretarza St. Janiszewski.

Największe powagi lekarskie całego świata polecają
PASTYLKI

GÉRAUDEL'a

jako środek leczniczy, usuwający radykalnie **chrypkę, katar, kaszel** oraz wszelkie choroby dróg oddechowych.

Cena pudełka 85 kop.

UWAGA. Oryginalne pudełka zaopatrzone są w czerwoną etykietę z firmą głównego przedstawiciela na Królestwo i Cesarstwo. „Fabian Klingsland. Warszawa”.

Zdrowie jest najcenniejszym skarbem dla wszystkich!
ŚLYNNA W CAŁYM ŚWIECIE!

HERBATA z gór Harcu

(Dr. Lauer's Harzer Gebirgstee).

Zalecana przez najstynniejsze powagi lekarskie, zatwierdzona przez departament Med. przy Ministerjum Spraw Wewnętrznych w Petersburgu jest jedynym z najniezbędniejszych środków dla utrzymania zdrowia. Napój przyjmowany w ilości 2—3 filiżanek tygodniowo, leczy wyrzuty, liszaje uderzenia krwi do głowy, hemoroidy, reumatyzm, artretyzm, cierpienia żołądka i t. p. przywraca apetyt, prawidłowe trawienie. Działa skutecznie w wypadkach zapalenia płuc, influenzy, choleryny

Cena pudełka 1 rb., 1/2 pudełka 50 kop.

UWAGA: Każde oryginalne pudełko zaopatrzone następującą etykietą: Reprezentant na Królestwo Polskie i Cesarstwo:

JOZEF GROSSMAN. Warszawa, Śliska № 93a. Telefon 184-44-

Za miejscowym wysyłam za zaliczeniem od rb. 1 z odliczeniem na koszt przesyłki. Wystrzegać się falsyfikatów i podrabianych etykiet.

MACZKA
NESTLÉ
 MLECZNA

Idealny pokarm
 dla niemowląt
 oraz dla osób dorosłych — chorych
 na żołądek.